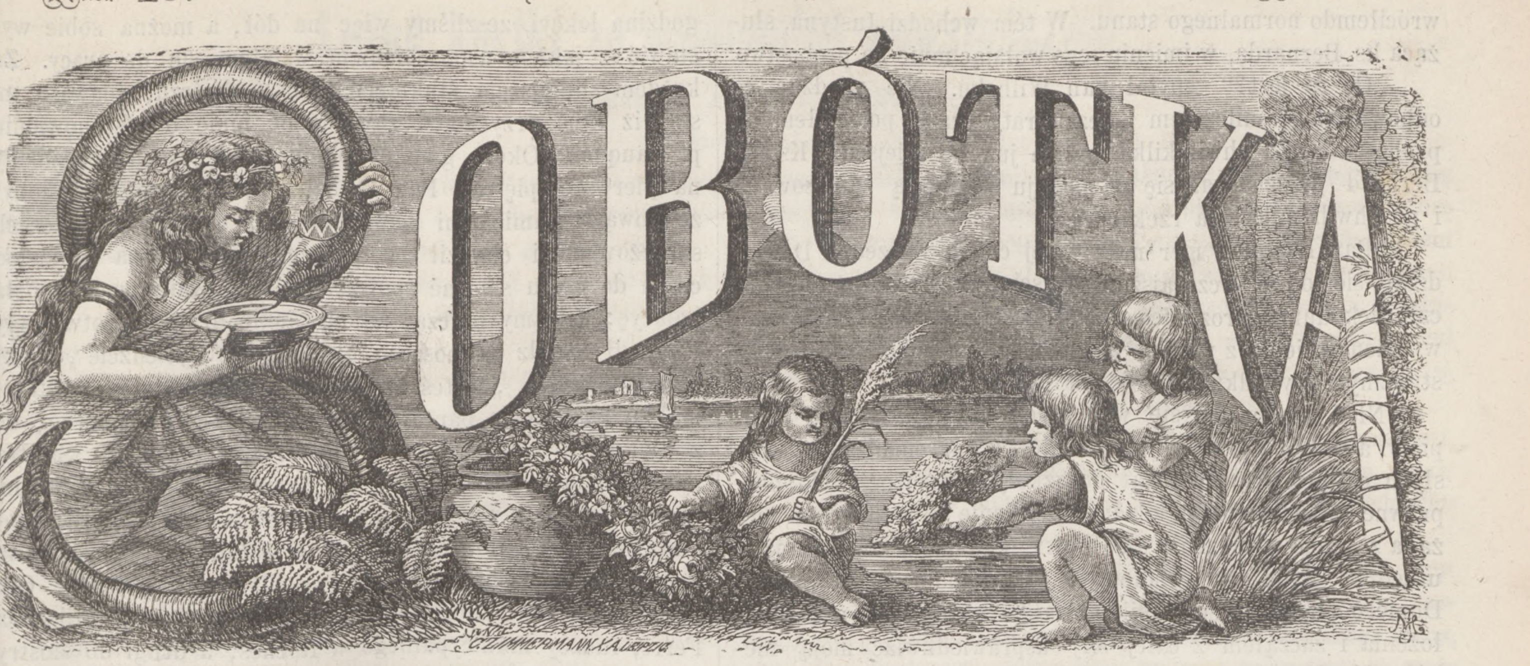
Nr. 45. Poznań, dnia 4. Listopada 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

V.

Podczas karnawału, w pośród zimy, obchodzą zwykle w górach uroczystość t. z. złych języków. Stary to zwyczaj, od lat setek powtarzający się rok rocznie. W kilka dni po Trzech Królach, wieczorem chłopcy wiejscy wędrują na najwyższe i lasem pokryte skały w okolicy i tam z chrustu i liści rozniecają ogień. Około godziny dziewiątéj płomień wznosi się aż po wyżéj drzew, ludzie się schodzą i przypatrują mu w milczeniu. Skoro to spostrzegą dziewczęta wiejskie, zdążają po trzy lub cztery ku miejscu wyznaczonemu i chowają się w pobliżu w zaroślach. W téj chwili największy krzykacz i figlarz w okolicy, wchodzi na najwyższy punkt skały i z całych piersi ogłasza przyszłe związki małżeńskie i tajone romanse. Wiadomo jest, iż ci krzykacze wiedzą o wszystkich miłostkach, o przyrzeczeniach wzajemnych i znakach na schadzki kochanków u fontanny, i kiedy kochankowie cieszą się z tajemnicy, on się z góry z nich śmieje i oczekuje niecierpliwie na chwilę, w któréj figla ma im wypłatać. Jednocześnie z tą zdradą jeden z chłopców przy ogniu stojących rzuca palącą się głownię w powietrze, a dziewczęta krzyczą z całych sił: Nie!... nie!... to nieprawda!...

Opowiadał mi pan Wilhelm o téj zabawie, a roku zeszłego z okna widziałem cały ten obchód. Tego roku z bliska chciałem się przypatrzeć i wieczorem po zamknięciu szkoły poszedłem w stronę w któréj ogień błyszczał. Ciemno już było kiedy stanąłem u stóp skały, i w téj chwili właśnie rozległ się głos grzmiący powtarzając rozmaite nazwiska chłopców i dziewcząt. Szereg to był bardzo długi i ogień już gasnąć zaczął, aż w tém rozchodzi się po lesie echo niosąc imiona pięknéj Zali i Jana Baptysty Renaud. Zrobiło to na mnie takie wrażenie, jakby skała spadła na głowę; stałem chwilkę odurzony, poczém zerwałem się i powtarzając bezprzytomnie oba imiona biegłem ku domowi. Stanąwszy przy schodach obejrzałem się za siebie, a widząc wracającą bandę młodzieży, zdawało mi się, iż to są nieprzyjaciele, czyhający na życie moje. Pan Wilhelm przechadzał się po pokoju, p. Katarzyna wniosła mleko; oboje milczeli. Nazajutrz, po śniadaniu lekcye jak za zwyczaj się rozpoczęły. Zdawało mi się, że kilku uczniów spoglądając na mnie uśmiechało się złośliwie, ale wkrótce uderzenia trzcinki wróciły porządek, i mówiłem do siebie nieco uspokojony: „Nic ci to nie zaszkodzi, Janie Baptyście... nie masz się czego obawiać, jest to sobie żart gruby chłopów i nic więcéj.

Z każdą chwilą byłem spokojniejszy, a po obiedzie widząc że p. Katarzyna jest dla mnie usposobioną jak zwykle,

wróciłemdo normalnego stanu. W tém wchodzi Justyna, służąca ks. Bernarda, w imieniu jego wołając mnie na probostwo.

„Co to jest?“ spytał pan Wilhelm. Nie wiedząc co odpowiedzieć, milczałem i bez straty czasu poleciałem na probostwo. Za chwil kilka byłem już na miejscu. Ksiądz Bernard przechadzał się po pokoju z twarzą zafrasowaną i po chwili milczenia rzekł:

„Pan Bauquel, mer nasz w téj chwili wyszedł. Dowiedział się on o wczorajszem zajściu, a ponieważ jest to człowiek dumny, rozgniewał się i zażądał natychmiastowego wydalenia ciebie z wioski. Chciałem go uspokoić, ale w tak strasznym wypadku nie wiedziałem co począć.“

Niedomyśliwając się wszystkich skutków, stałem osłupiały, a ksiądz Bernard mówił dałéj, że zgromadzanie dorosłych chłopców i dziewcząt do szkoły wieczornéj było bezprawne, że należało się udać o pozwolenie do rektora, że mer żąda za chęć uwiedzenia jego córki, wydalenia mnie, że jako urzędnik wyda mi świadeutwo złéj konduity i obyczajów. Dopiero po téj całéj litanii poznałem okropność mego położenia i zacząłem z całéj siły usprawiedliwiać moją niewinność, dowodząc jak mogłem najwymowniéj, że myśl zła nigdy mi przez głowę nie przeszła.

Ksiądz Bernard z głową spuszczoną chodził po pokoju mówiąc:

„Jakaż nie roztropność!... jakaż nie roztropność!... Ach! żeby p. Wilhelm przed otworzeniem szkoły wieczornéj, spytał mnie się o radę, nie byłoby nigdy przyszło do tego. Mój Boże!... wierzę twoim wyrazom... wierzę, że jesteś uczciwy chłopiec, ale z tém wszystkim przyznać musisz, że twoje względy okazywane pannie Bauquel w szkole, wywołały całe zajście. Teraz panna ta jest skompromitowana... Co tu począć?... co tu począć?...“

A kiedy prosiłem o wstawienie się za mną: „Ach!“ rzekł siadając, byłby może sposób... im więcéj myślę, tem mi to prawdopodobniejszém się zdaje... Jest to jedyny twój ratunek... Przecież nigdzie bez świadectwa miejsca nie dostaniesz!... Mamy tu o dwie mile w Roches, w górach szkółkę. W tém ustroniu mieszka ludność na pół dzika, kontrabandziści, złodzieje lasów... Tak!... ale trzeba odwagi....“

„Ach! księże proboszczu, wszystko przyjmę“, odpowiedziałem. „Proszę mnie wysłać do Roches.“

„Zastanów się...“

„Wszystko przyjmę, byle mnie tylko wstydem nie okryto.“

Ksiądz proboszcz zdawał się być rozczulony i począł tłomaczyć, iż to nie od niego, lecz od mera zależy, a on ze swojéj strony może tylko wstawić się za mną.

Wyszedłem wstanie nieledwie obłąkania. Wchodząc do pokoju, odzazu spostrzegłem z twarzy państwa Wilhelmowstwa, iż wiedzą o wszystkiem, spojrzeli na mnie z miną zdziwioną. Opowiedziałem im z całą szczerością całe zajście i nadzieję dostania tranzlokacyi do Roches.

„Do Roches!“ zawołał pan Wilhelm, „masz pójść do Roches?“

„Nie inaczéj; to moja jedyna ucieczka i jedyna nadzieja.“

Nauczyciel z dziwnym wyrazem spojrzał na żonę; zdawało mi się, iż chce coś powiedzieć, ale zamilkł. Była to godzina lekcyi, zeszliśmy więc na dół, a można sobie wystawić z jakiem usposobieniem wziąłem się do pracy. Za każdem silniejszem stuknięciem na podwórzu, zdawało mi się, iż ktoś przychodzi zawiadomić mnie o postanowieniu p. Bauquel. Około godziny piątéj po lekcyach, poszliśmy na pierwsze piętro. Pan Wilhelm był bardzo zamyślony; z głową i ramionami obwisłemi i z rękoma na plecach skrzyżowanemi chodził po pokoju, rzucając na mnie od czasu do czasu smutne spojrzenie. Pani Katarzyna wniosła kolacyę; jedliśmy milcząc, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł ksiądz proboszcz. Powstaliśmy. „Siedźcie“, rzekł biorąc krzesło. „Jesteś uratowany“, mówił daléj. „Otrzymałem pozwolenie pan Bouquel, chociaż dodać muszę, że z wielkim trudem. No, ale się wreszcze zgodził. Siostra miłosierdzia Augustyna od czasu przybycia do Chêne-Fendu, jest wciąż chora i z tego powodu wraca do klasztoru; Siostra Eleonora z Roches, zastąpi ją tutaj, a ty pójdziesz na miejsce siostry Eleonory. Sprawa już jest ukończona. Oto są dwa listy z podpisem moim i mera, jeden do Mikołaja Ferre, radzcy municypalnego w Roches, a drugi do siostry Eleonory. Biedna siostra, pomimo tylu cnót chrześciańskich, nic wśród tych barbarzyńców zrobić nie mogła. Przy twojem wykształceniu i z twoję metodą mam nadzieję, że będziesz szczęśliwszy... A kto wie?... kto wie?... Może za usługi które tam oddasz, zapomną wypadku w Chêne-Fendu... Życzę tego z całego serca. Jest to wszystko co ci zrobić mogłem...“

„Dziękuję księdzu proboszczowi“, rzekłem ze łzami w oczach; „nie zapomnę nigdy co jemu winien jestem.“

„Tak“, odpowiedział wstając, „było to bardzo trudne; ale przy pomocy Boga szczęśliwie się ukończyło. Nie trać tylko czasu i jutro raniutko ruszaj w drogę. Źle bardzo byłoby żeby cię mer miał jeszcze spotkać; postanowienie jego było chwiejne, czy rozumiesz?...“

Ukłonił się i wyszedł. Odprowadziłem go aż na dół wschodów.

„Ach! panie Wilhelmie, co to za zacny człowiek ten proboszcz, co za serce! Czy można zapomnieć tego wszystkiego, co on dla mnie uczynił?“

„Tak“, odpowiedział jakby do siebie p. Wilhelm, „to bardzo szlachetny człowiek!“

Po kilku chwilach dodał: „Ponieważ idziesz do Roches, posłuchaj mojéj rady. Winien ci jestem szesnaście franków. Weź więc za dwanaście franków kołdrę i dwa prześcieradła, bo tam z pewnością tego nie znajdziesz, a cztery franki wyliczę ci gotówką. Czy się zgadzasz?“

Propozycyę chętnie przyjąłem. Pani Katarzyna poszła po kołdrę i prześcieradła, a p. Wilhelm otworzywszy komodę wyliczył mi należne cztery franki. Następnie pozwolił wybrać z pomiędzy książek swoich te, które mi potrzebne były. Ponieważ miałem co niedzielę przychodzić z uczniami na mszę do Chêne Fendu, łatwo więc było książki te zmieniać. Po załatwieniu wszystkich spraw, serdecznie pożegnałem się z p. Wilhelmem i z panią Katarzyną i wziąłem się jeszcze przed pójściem na spoczynek do upakowania zawiniątka, ponieważ dla uniknienia żartów ludzkich, musiałem wyjść bardzo rano. (C. d. n.)

Luźne kartki ze wspomnień powstańczych.

Walenty Parczewski.

(Dokończenie.)

„Po burzliwéj przeprawie morskiéj, późnym wieczorem, wpływałem do zatoki genueńskiéj; — niebo pokryte czarnym całunem chmur — szło o pierwsze z duszą moją... a krzyżujące się pioruny i oblewające od czasu do czasu grube mroki... błyskawice, odsłaniały oczom wychodzącą z wód morskich Genuę.

„W innéj chwili czarowny ten widok byłby żywiéj na mą oddziałał wyobraźnią, lecz wtedy, skupiała się ona w sacro sanctum własném... w minionych czasach... bezpowrotnych wysiłkach... i po nad morza, góry, łuny i marmurów koronki... widziałem kraj daleki... spustoszony, zawalony gruzy, pokryty grobami... bez dróg i światła... ze skrzypiącemi szubienicami... połamanemi krzyżami... wygnanemi dziećmi... a przecie okryty jasną szatą byłéj wielkości... zapaśnego ducha... i wiary! przy których marmurowa Genua wydawała mi się zabalsamowanym trupem... sarkofagiem kryjącym prochy!

I samotny wygnaniec, w obec królowéj morza i piękna... stanąłem, dumny dziejową chwałą, dumny walką i dumny męczeństwem!... Upewniony, że Polska od wieków żyjąca i nadal żyć nie przestanie.

„Z takiemi myślami zawijałem do portu.

„Towarzysz mój z pod Kalisza, spostrzegłszy mnie stojącego samotnie na pokładzie okrętu, zbliżył się.

„Szukałem pana Majora po wszystkich stronach statku żeby przy rozstaniu, nacieszyć się mową ojczystą i podzielić łzą niedoli!... bo któż odgadnie? — może nigdy nie da mi Bóg dożyć szczęścia tego, żebym skonał pod komendą polską lub gdzieś na wodach dalekiego morza obiad przyrządzał swojemu Panu!..."

„Dla czego masz wątpić bracie? Walka za Polskę bez przerwy się toczy — my ją ponieśli za granicę, na dalekie ziemie i morza — i jesteś tu ciągle pod komendą honoru narodowego... a ci co pozostali, prowadzą ją stale pracą, światłem i miłością ludu! Ufaj więc, że jeśli wszystko przeminie i życie nawet nasze! Sprawiedliwość jako prawo Boże, przeminąć nie może."

„Kiedy to mówiłem, grom zatrząsł stropami nieba, ognistym wężykiem spadając — spiętrzone fale wzdęły się mocniéj — statek zatrząsł gwałtownie... a Genua jak blada trupia czaszka spojrzała ku nam... Skorzeni przed potęgą żywiołów, spojrzeliśmy ku sobie, ręce nasze splotły się... Wszechmocność przemówiła do nas płomiennym głosem, objawiając moc swoją...

Pod tém wrażeniem wstępowałem na górę wiodącą ku miastu. Cyprysy szumiąc ponuro, puste ulice, milczenie, robiły na mnie wrażenie grobu. Nieszukałem w tém, przyjętym zwyczajem turystów świata obcych obrazów. Ach! miałem w duszy własnéj taką ich moc, że czegokolwiek dotknął się wzrok mój, raniło mnie chłodem, raniło obojętnością i pustką... Gwiazda moja świeciła na dalekim wschodzie, cienie męczeńskiéj braci tułały się pomiędzy połamanemi kolumny... i groby... krew z łuną oblewały te cienie... I czyż mógł istnieć na świecie obraz olbrzymszego wrażenia!? Nie, zaiste! Te obrazy, to moja ziemia! moja krew! moja śmierć! Odepchnąłem Genuę pysznie. Genue z jéj martwym duchem, by utonąć w sobie...

„Wstrzymany niezależnemi odemnie okolicznościami, po kilkotygodniowym pobyciu wyjechałem do Turynu, gdzie zastałem rodaków, którzy mnie na dwór, uczciwego króla" wprowadzić mieli jako zawołanego żołnierza.

„Miałem do karyery za granicą ułatwione drogi, lecz kto zna czém jest ogień duszy, któren się w trawiącéj tęsknocie i gorżkiéj rozpaczy za niedoczekanym celem życia, objawia... ten mi wyrozumie, że nad wszystko co mnie czekać mogło, co spodziewać się dało najpożądańszym, najdroższym był powrót do kraju. Praca zużytkowana na łonie jego i połączenie się z rodziną. Wzywany przez nią po wielekroć, czując przytém dla sił potrzebę opieki bliższéj, wybrałem się z powrotem ku Polsce."

Wszystkie te zapiski pozbieraliśmy z listów pisywanych do nas, lub ustnych opowiadań zmarłego.

Przybywszy w Grudniu z nadwerężonem zdrowiém do rodzinnego domu swego do Osieka w Poznańskiém, zastał go pustym — ukochane rodzinne progi, obca deptała stopa; a w nastroju żalu i tęsknoty, niebaczny na wszystko cokolwiek spotkaćby go mogło — dosiadłszy konia, śród nocy ciemnéj, wietrznéj, mroźnéj, przebywa lody macierzystéj swéj rzeki Prosny, myli czaty objeszczyków — i jak duch pociechy, owiany płaszczem nocy... zjawia się, choć na chwil kilka w gronie zdziwionéj rodziny, w Król. Polskiém.

Nim brzask dzienny zawitał, kury zapiały, niósł go koń z powrotem — śniegi zawiały ślady, lecz nie zawiały wrażenia radości, nie zawiały tęsknoty...

Po powrocie, nie minęła go koza pruska, rujnująca tém więcéj zbolałe piersi — choć nie poddawał się cierpieniu nigdy! bo wola życia, tak jak wola pracy były silne!

Nareszcie przyszły galopujące suchoty.

„O moja droga!" mówił do pilnującéj go siostry, kiedy mu oddechu brakowało — „najwięcéj zawsze obawiałem się stryczka, a tu jak widzę, kończyć muszę uduszeniem — niech się stanie! bo i cóż dziś zemnie siłacza kiedyś? bezsilne, niedołężne dziecko!"

Umarł dnia 16 Kwietnia 1869 r. wieczorem, „kiedy słońce zachodziło", nie doczekawszy się wschodu słońca wolności, za jakiem tyle tęsknił...

Walenty Parczewski umarł w domu brata swego, w Grabianowie pod Poznaniem.

O PRZEZNACZENIU KOBIET.

IV.

Kobieta jako matka i przewodniczka.

Opuszczając koła nauki i życia publicznego, w których kobieta jakby gościem tylko się pojawia, i wracając do owéj ciaśniejszéj i najwłaściwszéj sfery jéj działania, do cichych zakątków domowych, znajdziemy tu jedno jeszcze pole dla kobiet otwarte, którego staranna a w takim razie i skuteczna uprawa, zastąpić zdoła wszelkie inne życia zawody. Jest niém wychowanie fizyczne, duchowe i moralne, wykształcenie dorastającéj młodzi. Czynność kobiety na tém polu, jeżeli postawionemu sobie zadaniu w zupełności odpowiada, może korzystnie być rozszerzoną i rozwiniętą. Jakże wiele, jakże nieobliczenie wiele zdziałać może kobieta pracując nad rozwojem fizycznym i umysłowym dziecka, przysposabiając i ukrzepiając siły, tak potrzebne w przyszłym jego zawodzie. A pielęgnowanie to jest wyłącznie rękom, rozumowi i troskliwości kobiecéj właściwe. Co do duchowego wykształcenia dzieci, może kobieta, jeżeli dobrą posiada wolę, gorliwość i dostatecznie sama do tego jest przygotowaną, znakomity mieć w niém i daleko sięgający udział. Wedle natury rzeczy przypada jéj cała pierwiastkowa nauka dziecka, która więcéj jest przypadkową niż regularną, więcéj pobudzającą niż zastanawiającą, szeroką więcéj niż głęboką. Tu na właściwém jest miejscu lekka ruchliwość ducha kobiecego, delikatny i czuły dar spostrzegania tego, co najbliższe i najbezpośredniejsze; praktyczny jéj zmysł i zamiłowanie porządku. W bezustannem obcowaniu z dzieckiem, które w tym szczególnie wieku chętnie i z zaufaniem oddaje się matce lub opiekunce, może kobieta wykształcona mimochodem, wśród wszystkich innych wielorakich zatrudnień wpoić w umysł dziecięcy wielką ilość stósownych dla niego wyobrażeń, może go pobudzić do myślenia i spostrzegania. Do téj czynności potrzebuje tylko zaspokajać żywą z natury chęć wiedzy dziecka, kierować nią, na nieznużone nigdy pytania jego równie nieznużenie lecz na sposób właściwy odpowiadać, nie za wiele i nie za mało, a przedewszystkiém tak, aby dziecko całkowicie zrozumiało, i aby mu niczego nie mówiono, do czego własnym namysłem i zastanowieniem dojść może.

I do początków naukowego, wedle pewnego i stałego planu urzędowego wychowania, mogłyby kobiety, przy dostatecznem własném wykształceniu być sposobne, i postęp byłby niezawodnie wielki, gdyby część tego wychowania przeniesiona być mogła ze szkoły do domu. W Ameryce północnéj trudnią się podobno kobiety do pewnego kresu, i to ze skutkiem pomyślnym nauką nie tylko córek, lecz i synów swoich i to nawet nauką matematyki i nauk przyrodzonych. U nas zaczęto zwracać kobietom część tego, co im się należy, i naukę młodzi niewieściéj powierzać w większym niż dotąd obszarze nauczycielkom. W Anglii uczyniono to już w obszerniejszym rozmiarze, a błogim tego skutkiem zdaje się być dokładna znajomość objawów i wypadków powszedniego praktycznego życia, jaką tam młodzież obojéj płci posiada.

Nadzwyczaj ważnym jest wpływ, jaki umysł niewieści wywierać może na rozwój charakteru i całego życia umysłowego młodzieży jéj powierzonéj, lub w blizkich z nią stósunkach będącéj młodzieży. O dziewczętach rozumie się to samo przez się, że całe wychowanie ich umysłu i charakteru jest po największéj części dziełem macierzyńskiego lub w ogóle niewieściego wpływu. Lecz i na młodzież męzką może wpływ ten być daleko sięgającym. Jeżeli prawdą jest, że pierwsze wrażenia umysłu dziecięcego są najsilniejszemi i najtrwalszemi, (a doświadczenie mówi za tém), to łatwo pojąć, że nasienie rzucone w tym czasie ręką niewieścią, wzrasta i buja bez przerwy w całém życiu, prowadząc do dobrego lub złego, wedle tego, jakiem było to nasienie.

Słusznie powiedziano, że kobiety z przyczyny swéj natury, bliższemi są dzieciom. Dla tego téż zyskują zwykle kobiety daleko łatwiéj niż mężczyzni zaufanie, miłość i przywiązanie dzieci. Kobiety rozumieją lepiéj niż mężczyzni objawy umysłu dziecięcego i umieją daleko zgrabniéj i z większym taktem popierać prawdziwe, a fałszywe zwracać lekką i miękką ręką na drogę właściwą. Czém dla rozwijającego się kielicha rośliny powietrze i światło, tém dla dziecięcego i młodzieńczego umysłu ciepły blask słoneczny miłości macierzyńskiéj, owéj najwyższéj, uświęconéj, błogosławionéj siły życia ludzkiego. Dla silnego młodego umysłu jest ona żywiołem łagodzącym i uśmierzajacym, dla miękkiego i lękliwego wzmacniającym i zapalającym, dla walczącego jeszcze w sobie, czyszczącym i klarującym, dla wszystkich świętym geniuszem, który im przez całe życie — z bliska lub z dala, widomie lub dla ziemskiego oka niewidomie, towarzyszy jak święty talizman opiekując się niemi i błogosławiąc im. Gdyby nam znaną była młodość wszystkich tych, co w codziennem życiu idą na zgubę, znaleźlibyśmy, że jak z jednéj strony większa ich liczba nie doznała w latach swéj największéj moralnéj wrażliwości, owego błogosławieństwa troskliwéj miłości macierzyńskiéj, tak z drugiéj strony owi, co w życiu okazali charakter silny, moralny i szlachetny, zawdzięczają to z małemi wyjątkami głownie wpływowi macierzyńskiemu.

Wielokrotnie i słusznie zrobiono uwagę, że wielcy ludzie odznaczali się w ogóle głęboką czcią i miłością ku swym matkom, jako też że w wielu przynajmniéj razach, życie ich okazywało poważny wpływ ducha macierzyńskiego. We względzie pierwszym podaje nam już starożytność wybitny przykład dziecięcéj uległości rzymskiego wodza Koryolana, ku swéj matce, dla któréj zaniechał wyprawy przeciw Rzymowi, który go mocno był obraził a przez to siebie samego narażał na zemstę swych sprzymierzyńców. W nowszych dziejach jest może najdobitniéjszym przykładem podobnéj dziecięcéj uległości cesarz Józef II, który w najsilniejszym nawet wieku męzkim i gdy już dzierżył berło cesarskie nad Niemcami, w sprawach austryackich swych krajów dziedzicznych, poddawał się jednak bezwarunkowo woli swéj matki, chociaż wola ta w najważ-

niejszych punktach sprzeczną była z jego zapatrywaniami i niekiedy w upokarzający dlań sposób się objawiała.

Ze względu na tę daleko sięgającą władzę, jaką kobiety a mianowicie matki mają wywierać na rozwój ducha i charakteru przyszłego pokolenia, a przez to na całą przyszłość ludzkości aż do najdalszych czasów, można słusznie do nich zastósować słowa które Szyler do artystów wyrzekł:

„Ludzkości godność waszym rękom powierzona,
Zachowajcie ją!
Z wami upada, z wami się znów wzniesie."

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

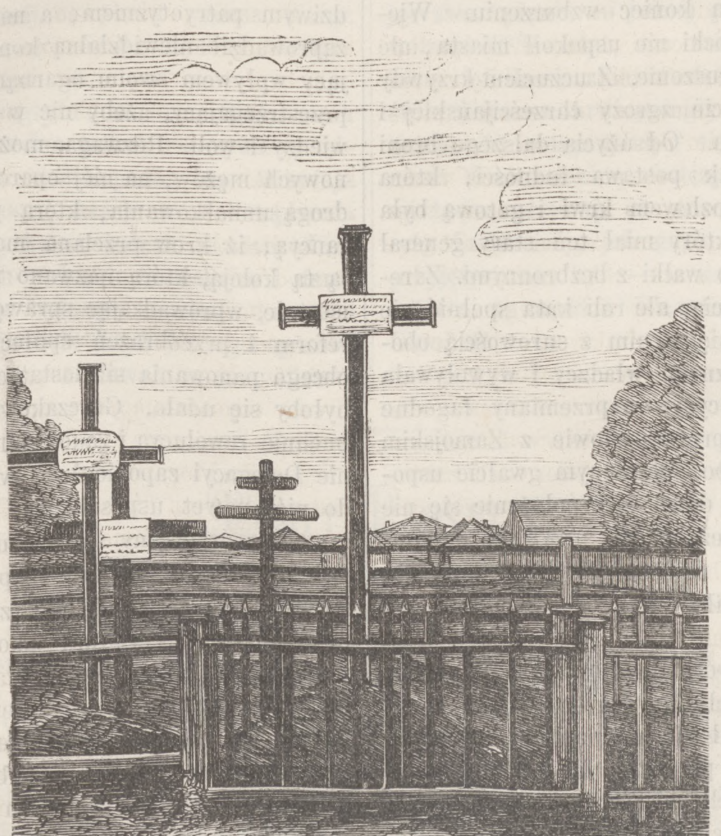
przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Rozmowie od samego początku ciekawie we drzwiach gabinetu przysłuchiwali się doradzcy namiętnika. Późniéj, w jego ciągu, powoli, na palcach weszli do pokoju i stanęli obok księcia minister Muchanów; generałowie: Kotzebue, Paniutin i Bebutów, prezydent Andrault, Karnicki, Enoch, Korf i inni. Książe tymczasem wyraził obawy swoje, że pogrzeb uroczysty zabitych da powód do zbiegowiska, niepokoi i wywoła nowe ofiary. Szlenker starał się zbić te obawy i zaręczył, że jeżeli tylko policya cofnie się i nie będzie się mięszać do niczego, pogrzeb odbędzie się w porządku a za utrzymanie spokojności w mieście obywatele biorą na siebie odpowiedzialność. Gorczakowa bardzo to zdziwiło, że obywatele chcą sami utrzymać spokojność i nie tail swojego pod tym względem powątpiewania; gdy jednak Szlenker zaręczył powtórnie, że spokojność utrzymaną zostanie, a jako warunki pokoju przedstawił nie tylko cofnięcie z ulic policyi ale i wojska, w ten sposób, żeby ostatnie tylko zwykłe warty zajmowało, ale na ulicach w dzień pogrzebu nie okazywało się — Gorczaków zezwolił na uroczysty pogrzeb.



Grób księdza Konstantego Łubieńskiego,
Biskupa Augustowskiego w Niżnim Nowgorodzie.

„Kiedy panowie zapewniacie, że spokojność utrzymaną będzie, zezwalam na pogrzeb, ale powtarzam", dodał, „że odpowiecie mi za naruszenie porządku. Do wojska i do policyi wydam stosowne rozkazy. A pan, zwracając się do Szlenkera, zawiadomisz mnie, w jaki sposób i kiedy ma się pogrzeb odbyć. Sądzę teraz panowie, że dałem wam dowód ufności i zrobiłem wam możliwe zadosyćuczynienie co do nieszczęśliwego wypadku, który sam szczerze opłakuję, ale nawzajem zwracam na to szczególną uwagę i powiedzcie to wszędzie, że nie ścierpię dłużéj nieporządków i w razie ich wybuchnięcia użyję środków wojskowych."

Po tych słowach ukłonem zakończył posłuchanie, gdy Jakób Piotrowski dodał: „Wasza Książ. Mość oświadczasz, że w razie nieporządków użyjesz siły, możesz to uczynić, bo masz wojsko, ale cóż lud powie wtedy o nas, którzyśmy w jego imieniu występowali a nie zabezpieczyli od wszystkiego co go drażni i może być przyczyną niepokoju. Policmajster Trepow stracił u ludu wszelką popularność. On, jako naczelnik policyi powinien był zapobiedz wypadkom 25 Lutego, a tego nie uczynił, owszém wprowadził lud w pułapkę na Starém mieście, okazał więc złą wolę, niecne zamiary i przez to stał się niepodobnym."

„Co!" odparł książe", nowe warunki!? Nie panowie, na nic więcéj nie zezwolę i powtarzam, że gdy porządek będzie zakłócony, bombardować będę miasto!" i odszedł.

Po odejściu Gorczakowa dygnitarze zaczęli rozmawiać o wypadkach z deputowanymi, a gdy Muchanow dziwił się

nad śmiałością z jaką odzywali się do namiestnika carskiego, Hiszpański po polsku mu odpowiedział: „dla tego mówiliśmy śmiało bo cierpienia ludu podzielamy — a kule które w piersi innych ugodziły i w nasze serca trafiły.“

Takim tonem przemawiali obywatele ujarzmionego miasta do pełnomocnika potężnego monarchy północy. Jakaż to różnica od tonu w jakim się odzywał sejm i król Stanisław August do posłów moskiewskich za czasów niepodległości Polski. Śmiałość deputacyi miasta zrobiła wielkie wrażenie. Gorczaków uderzony był godnością i wymową deputowanych; Bebutów porównywał Szlenkera z Cavourem, a jakiś Moskal nie tail zdziwienia, że szewc z Hiszpanii, jak nazwał Hiszpańskiego, umiał gadać jak urodzony mąż stanu i szlachcic. Przyczyną jednak główną dla której Gorczaków okazał się skłonniejszym do ustępstw przed deputowanymi z miasta, niż przed deputowanymi szlachty, była nie tyle śmiałość pierwszych, ile ta okoliczność, że Zamojski i Ostrowski byli u niego w chwili, gdy się mu zdawało, że strzały Zabołockiego położą koniec wzburzeniu. Wieczorem już wiedział, że Zabołocki nie uspokoił miasta, ale owszém, uczynił silniejszém poruszenie. Z uczuciem krzywdy narodowéj połączyło się uczucie zgrozy chrześcijańskiéj i gwałt okazał się nieskutecznym. Od użycia dalszego broni wstrzymywała Gorczakowa tak postawa ludności, która nie dawała się przestraszyć rozlewem krwi i gotową była do męczeństwa, jak i wstręt, który miał ten stary generał niepozbawiony pojęć honoru do walki z bezbronnymi. Z rewolucyą biłby się z wielką chęcią, ale roli kata spełnić nie chciał. Uczciwość pasowała się w nim z surowością obowiązków namiestnika despotycznego władzcy i wywoływała wahanie,' niepewność oraz decyzye naprzemiany łagodne i ostre. Powiedzieliśmy, że przy rozmowie z Zamojskim miał jeszcze nadzieję, że lud po spełnionym gwałcie uspokoi się — gdy przecież przez dzień cały położenie się nie odmieniło i jednakowo było nieznośném, przybycie deputacyi z miasta przedstawiło mu nadzieję wyjścia z honorem z matni w jakiéj się znajdował i dla tego to okazał się ustępującym.

Po opuszczeniu zamku, dwóch deputowanych udało się do Andrzeja Zamojskiego, ażeby go zawiadomić o treści rozmowy z Gorczakowem i skłonić do poparcia usiłowań miasta. Reszta teputowanych przybyła do resursy, gdzie niecierpliwie oczekiwano na ich powrót z zamku. Radość była wielka gdy ich ujrzano wchodzących na salę. Po wysłuchaniu zdania sprawy z rozmowy z namiestnikiem, otucha wstąpiła w zgromadzenie. Narady odtąd śmielej prowadzono i stawiano plany już daléj sięgające. Nadzieje jeszcze się podniosły, gdy po północy przybył do resursy prezydent miasta Andrault i w imieniu namiestnika oświadczył, że Gorczaków polecił mu jeszcze raz powtórzyć, że zgadza się na cofnięcie policyi i wojska z ulic, pozwala na uroczysty pogrzeb, że nie tylko zarządzi śledztwo w celu wykrycia winnych, ale oddali oberpolicmajstra Trepowa, urząd jego tymczasowo powierzy pułkownikowi ze straży ogniowéj Demonkalowi, władzę zaś i bezpieczeństwo miasta oddaje Delegacyi aż do ukończenia pogrzebu.

Po takiem zapewnieniu, Delegacya zajęła się zaraz obmyśleniem środków utrzymania spokojności w mieście i urządzeniem pogrzebu. Straż bezpieczeństwa postanowiono sformować z akademików, którzy w większości swojéj odznaczali się tak patryotyzmem jak umiarkowaniem i poruczono Drowi Chałubińskiemu zająć się tą czynnością ze względu, że jako profesorowi w akademii najłatwiej mu będzie ją dopełnić. Dr. Chałubiński wywiązał się szybko z włożonego zadania — i nazajutrz rano, już nie policya, ale straż ze studentów złożona, czuwała nad bezpieczeństwem mieszkańców. Obmyślenie programu i urządzenie pogrzebu poruczyła Delegacya osobnemu pogrzebowemu komitetowi złożonemu z pięciu członków: sekretarza Jeziorańskiego, kasyera Jakóba Piotrowskiego i prezesa ks. Wyszyńskiego. Zarządzającym zaś pogrzebem naznaczono Trzetrzewińskiego.

Ustępstwo jakie Gorczaków zrobił Delegacyi, otwierało dopiero pole do wyzyskania na korzyść sprawy polskiéj wypadków 27 Lutego; utrwalało ruch narodowy, oddając go pod przewodnictwo ludzi światłych i ożywionych prawdziwym patryotyzmem, a nad którymi od początku zaraz zaprowadził niewidzialną kontrolę Komitet Rólniczy, usiłujący wpływem swoim ogarnąć wszystkie instytucye i pilnie przestrzegający, ażeby nic w kraju nie robiło się bez jego wiedzy i woli. Rozwaga, może nawet zbyteczna, odznaczała nowych mężów, na niéj oparci, poprowadzili ruch narodowy drogą umiarkowania, którą przedstawiono za jedyną gwarancyą, iż krew przelana marnie nie zginie; poprowadzili ją tą koleją, którą nazwano moralną rewolucyą, jaką była istotnie, wprowadzając sprawę polską na pole wewnętrznych reform i przeobrażeń społecznych. Do zrzucenia jarzma obcego panowania sił dostatecznych nie było: powstanie nie byłoby się udało. Gorczaków wprawdzie pewny był, iż wybuchnie rewolucya i zadowolony był, że jéj przez uprawnienie Delegacyi zapobiegł — w rzeczy jednak saméj nie było do niéj nawet usposobienia. Lud napadany przez żołnierzy na opór orężny się nie zdobył; wystawiał piersi ogniem miłości pałające na kule nieprzyjaciela, ale nie chwytał za strzelbę, do bitwy się nie rzucał, owszém tych co go do niéj namawiali, cechował jako zdrajców. Przy braku usposobienia, Delegacya nie mogła, wyzyskując położenie w jakiem się znalazła, tworzyć rewolucyi. Gdyby jednak, przypuszczamy, udało się jéj zmienić usposobienie do moralnéj tylko walki rozszerzone w publiczności, gdyby udało się jéj ożywić ją rycerskim zapałem do bitwy, to i w takim razie rewolucya udać się nie mogła. Wprawdzie nieznaczne były siły wojskowe Gorczakowa w stolicy, miał jednak pod ręką kilkanaście tysięcy żołnierzy, to jest liczbę dostateczną do zgniecenia źle uzbrojonéj ruchawki w mieście liczącém 200,000 mieszkańców; — nie trzeba przytém zapominać, że siły moskiewskie w Warszawie mogły się we trzy dni podwoić. W roku 1860 w Królestwie Polskiem stały dwa, t. j. pierwszy i drugi korpus czynnéj moskiewskiéj armii, z powodu jednak rozpoczynającéj się agitacyi, już na początku 1861 r. w Styczniu sprowadzono korpus trzeci. Według etatu korpusy te liczyć powinny 120,000 wojska, — ponieważ jednak znajdowały się na stopie pokojowéj i znaczna część żołnierzy była na urlopach, więc stan ich rzeczywisty o wiele był niższy, zawsze jednak w trzech tych

korpusach znajdowało się przeszło 60,000. Wraz z załogami, kozakami i innemi nieregularnemi siłami, miał więc Gorczaków na zawołanie 80,000 wojska, które mógł w niedługim czasie powiększyć ściągnięciem korpusu IV i V stojącego na Podolu i w Bessarabii, a prócz tego wojskami rozłożonemi w Litwie, na Białorusi i na Wołyniu. Siły moskiewskie jakie w r. 1861 utrzymywane były w ziemiach polskich, równe były siłom, jakie przed trzydziestu laty pokonały powstanie posiadające kilkadziesiąt tysięcy wypróbowanego w bitwach starego żołnierza. Trudno było rozumnie przypuścić, ażeby tak liczną armią moskiewską, można było zwyciężyć ochotnikami z nieprzygotowanego do boju narodu, którego znaczniejsza część nie poczuwała się jeszcze w obowiązkach obywatelskich. Delegacya też nie przypuszczała, ażeby się rewolucya udać mogła i dla tego jéj nie pragnęła. Nie mogąc zaś sprawy narodowéj osadzić na gruncie stanowczych usiłowań, musiała ją prowadzić drogą pośrednią, na któréj za punkt wyjścia biorąc wypadki 27 Lutego, krok znaczny zrobiła, zyskując ustępstwa wyżéj określone od Gorczakowa.

Ustępstwa te ważne ze względu, że utwierdzały ruch narodu, nie przynosiły mu przecież żadnéj rzeczywistéj odmiany, niezmieniały bowiem w niczem praw przez Mikołaja krajowi narzuconych i systematu, który on do rządzenia Polską wprowadzał. Bez odzyskania jednak odmian administracyjnych oraz politycznych w duchu liberalnym i narodowym — zwycięztwo 27 Lutego było nie zupełne. Potrzeba się było o nie starać, potrzeba było użyć jednego sposobu jaki do upomnienia się o reformy zostawał, to jest adresu. Myśl adresu, jak nam już wiadomo, dawno i to w całym kraju była rozpowszechniona. Jednocześnie prawie z deputacyą od młodzieży uniwersyteckiéj, która usiłowała Towarzystwo Rólnicze nakłonić do podania adresu — przybył do Warszawy margrabia Aleksander Wielopolski z projektem adresu przez siebie zredagowanym. Żądając zwrotu konstytucyi 1815 roku, dowodził margrabia, że ponieważ statut organiczny, ogłoszony po stłumieniu Listopadowego powstania, nie był w życie wprowadzonym, zatém nie mógł znieść konstytucyi i ona prawnie egzystowała. Okazując swój projekt wielu znakomitym ludziom, wysłał z nim syna swojego Zygmunta Wielopolskiego do redakcyi Gazety Codziennéj, który odczytał go J. I. Kraszewskiemu w obec właściciela gazety i oświadczył, że ojciec jego w razie przyjęcia projektu, pojedzie z adresem do Petersburga dla wręczenia go cesarzowi. Projekt margrabiego miał zalety ścisłości i wyraźnie mówił czego sobie życzył, lecz ograniczając swe żądania do jednéj części Polski i wypierając się rewolucyi 1831 roku, nie mógł być aktem narodowym, jakiem być koniecznie musiało upomnienie się spisane przy świeżéj jeszcze krwi poległych Polaków. Kraszewski radził przekreślić ustęp tyczący się rewolucyi 1831 r. na co Zygmunt Wielopolski oświadczył, że ojciec jego nie zgodzi się na żadną odmianę, co spowodowało, że tak w redakcyi Gazety Codziennéj, jak gdzie indziéj projekt ten do adresu przyjętym nie był — a margrabia polecił ogłosić w Gazetach, że opuścił Warszawę i wyjechał z powrotem do Chrobrza.

(Dokończ. nast.)

TEMPI PASSATI!

„Oto są grzechy mojego żywota!“

Gdy myślą biegnę w dawnych marzeń światy,
Widzę — jak gwiazdy — moich snów bożyszcza —
I choć zaćmione żywota bławaty,
Jakże świetlane te zgliszcza!

O, ileż w sercu, wśród burz i pogody,
Było kołysek i grobów i wrażeń!
O, jakże cudny był mój przeddzień młody,
Wśród łez i bolu i marzeń!

Jedną rzuciłem... Gdzież dzisiaj? W klasztorze.
Druga na objęć mych łożu umarła —
Tamta z rywalem dzieli ślubne łoże —
A ta mi serce wydarła!...

Kochaj bez granic — i żegnaj bez żalu —
Miej czoło dumne — pierś jak słońce jasną —
Ale z miłości czarownego raju
Wyjdź — zanim świece nie zgasną...

Na Pas de Calais, 8 Lutego 1868.

Henryk Merzbach.

DWA WSPOMNIENIA ZE SYBERYI.

Jeden z moich przyjaciół, który lat siedm przeżył w rozmaitych okolicach Syberyi, zebrał bardzo znaczny zapas różnorodnych notatek dotyczących się tego odległego a tyle nam strasznego kraju. W tych notatkach znaleść można opis klimatu i badania, formalne studyum nad nim, badania geologiczne, archeologiczne, antropologiczne i t. d. Są tam rzeczy ciekawe, nie raz nawet zabawne z życia mieszkańców owego świata, z ich stopnia cawilizacyi i oświaty, zapatrywań na inne odległe im narody, których nie pojmują, bo świat cywilizowany przez cara i jego siepaczy jest jakby deskami zabity.

Biedny to gnębiony naród, czuje swą nędzę, swe po-

niżenie, swą niewolę i nieraz, jak w roku 1868 dał tego dowody przez zbrojny opór, który po rosyjsku nazywa się „buntem“ „mjateżem.“ Lecz Europa o tych konwulsyjnych drganiach syberyjskiego ludu nic nie wie, bo wątpię czy ktokolwiek dowiedział się o powstaniu dwóch wołości w barmaulskim okręgu, który krwawo uśmierzony został i po którym pod rózgami tomskiego gubernatora skonało kilkudziesięciu „chłopów-buntowszczyków.“

Takich rzeczy w służalczych gazetach moskiewskich nie ogłaszają; milczą o nich jakby nigdy się nie działy, albo jakby się działy gdzieś tam na księżycu, milczą o nich, jak milczą o — zbrodniach zgrai czynowników, wykonawców woli wszechwładnego despoty. Czasami tylko jaki wygnaniec, który z łaski cara wydostał się z ogromnego grobu zwanego Syberyą, lub który sam się uwolnił, wspomina o takich rzeczach i zachowuje je dla pamięci, bo może kiedyś przyjdzie przecież „Kreska na Matyska“ przyjdzie czas w którym despotyzm będzie zmuszony zdać sprawę ze swoich czynów.

Notatki mojego przyjaciela zawierają jeden fakt, świadczący wprawdzie o podłości moskiewskich czynowników; ale przy tém dosyć zabawny i nie szkodliwy dla rządzonego przezeń ludu. Zacznę od opowiadania tego dosyć ciekawego zdarzenia.

I.

Zastępca białego cara we wschodniéj Syberyi, generał-gubernator irkutskiéj i jenisejskiéj gubernii, jakutskiéj i zabajkalskiéj obłasti Kamczatki, Ochocka i amurskiego kraju (tytuł ten jest tak długi, jak niejednego udzielnego księcia niemieckiego), utrzymuje z graniczącemi mongołami pod panowaniem chińskiem będącemi, dyplomatyczne stósunki, ograniczające się na załatwieniu spraw z handlowych stósunków wypływających, a przy téj sposobności zapewne dyplomatyczni wysłańcy pełnią jeszcze poboczny obowiązek, pokłócenia między sobą pojedyńczych rodów mongolskich, zasiewania niechęci ku rządom niebieskiego państwa i t. p. niewinnych rzeczy, które dalszemu zaborowi drogę torują.

Miejscem tych dyplomatycznych akcyi jest Urga w Mongolii, kilka dni podróży od Kjachty.

Nie wiadomo dla jakich arcy-ważnych spraw wysłano kilka lat temu do Urgi Fjedora Pawłowicza Pawliszczewa sprawnika irkutskiego.

Ten Fjedor Pawłowicz jest — kompletnym moskalem, Ukończywszy uniwersytet w Kazaniu, podróżował po Europie, którą poznał, o ile ją Moskal szukający tylko zewnętrznych rzeczy, poznać chce lub może, powrócił do swéj ojczyzny, nad którą doskonalszego kraju już nie ma na bożym świecie i — nie mając majątku po rodzicach i pradziadach, czekał „chlebnego miesta“ t. j. urzędu, w którym obdzierać może kogo mu się podoba.

Najchlebniejsze miejsca w całéj Rosyi są: w Polsce i w Syberyi. W téj bogato od przyrody wyposażonéj części świata każdy urzędnik, każdy oficer pobiera podwójną pensyą, a jeśli się nią nie kontentuje, ma szerokie pole do popisywania się swemi zdolnościami.

Nasz też Fjedor Pawłowicz, wiedząc dokładnie gdzie złoto rośnie, prosił o urząd w Syberyi i dostał bardzo chlebne miejsce irkutskiego insprawnika, urząd odpowiadający naszemu radzcy ziemiańskiemu czyli z niemiecka Landrata.

Kilka bogatych wołości i stepnych dum — gmin burjackich — składa powiat irkutski, a wszystkie muszą płacić obfity haracz, co wnioskować można ztąd, że Fjedor Pawłowicz całą pensyą swoją rozdaje swym bióralistom, sam kontentując się „dochodami“ tylko.

Fjedor Pawłowicz, to typ Moskala. Unizony w obec przełożonych, despotyczny dla podwładnych, gładki i miły jak Adonis dla tych, z któremi miewa stósunki nieurzędowe, żyje sobie w Irkutsku jak pasza turecki i opływa w dostatkach jak pączek w maśle.

Mieszkanie też jego, to prawdziwy turecki seraj, wystrojony jak kjosk chiński, a sam lubuje się najbardziéj w ubraniu chińskiego mandaryna z białą gałką, w którém to ubraniu do 11 lub 12 zastać go można u siebie, nawet w biórze i wieczorem, gdy kogokolwiek z nieprzełożonych raczy przyjąć u siebie.

On to został przed kilku laty zaszczycony zaufaniem generał-gubernatora Korsakowa i wysłany w dyplomatycznéj sprawie do Urgi. Do takich wypraw, poseł zawsze ma niby do usługi sobie dodanych 10 — 12 zbrojnych kozaków i tyleż ich téż wziął nasz Fjedor Pawłowicz z sobą. Przyjęte tam zasady międzynarodowe różnią się tem od Grocyusza i Wattla dla europejczyków napisanych, że rosyjski posłannik może mieć w swém towarzystwie zbrojnych i z nimi przekroczyć granicę cudzego państwa, kiedy odwrotnie chińczykom to prawo nie służy. To już jest moskiewskie vice versa, bo dla moskiewskiego rządu międzynorodowych praw nie ma.

Urga ma być wielką osadą mongolską, zwyczajnie jurty większe i mniejsze, ale zawsze tylko jurty. Dla moskiewskiéj misyi, t. j. dla agentów rządowych jest osobna jurta obszerna i wygodna, która zapewne każdemu żyjącemu tam chwilowo przypomina, że i jego niedawni przodkowie wiedli koczujące życie, do którego nawet obecne pokolenie jeszcze jest bardzo skłonne.

Niedaleko od Urgi jest klasztor Lamów, duchownych lamaisko-buddystycznego wyznania. Sekta ta trzyma się dosłown nauki Buddy, kiedy szamaici przyjęli pewien rodzaj reformy. Wszakże jedno z tych wyznań tyle warte, co i drugie. Szamaitów z Mongolii wygnano po krwawém prześladowaniu i obecnie żyją w Syberyi pod panowaniem Rosyi.

Fiedor Pawłowicz przybył do Urgi, gdzie go z honorami przyjęto, bo tam w obec przysłanych agentów dyplomatycznych Rosyi zachowywać muszą ceremoniał, chińskim rytuałem przepisany. Tu zdaje się jest najlepsza szkoła dla moskiewskich urzędników, bo się tu uczą być mandarynami, by potém tę cenną naukę u siebie zastósowywać. Utrzymanie dyplomatycznego agenta i jego świty w Urdze jest obowiązkiem chińskiego rządu, choć ten agent pobiera dyety od rządu swego. Jest to zawsze dobra gratka dla zaszczyconych zaufaniem generał-gubernatora, bo napełniają sobie nie źle kieszenie.

To też i nasz Fiedor Pawłowicz z pewnością to ukoń-

czył przez kilkanaście dni, co przez dzień lub dwa dni załatwioném być mogło, bo tak przyjemnie żyć cudzym kosztem, że on i jego koledzy chętnie całe życie by tak żyli.

Nie wiadomo jaki to był ważny interes, dla którego Fiedor Pawłowicz był wysłany do Urgi, dosyć nam wiedzieć, że go przez dziesięć razy więcéj czasu załatwił, niżeli na to rzeczywiście potrzeba było, a potém przez ciekawość wybrał się z całą świtą swoją do klasztoru Lamów. Przełożony klasztoru uwiadomiony o zaszczycie jaki miał spotkać jego przytułek, z wszystkimi lamami przysposobił się na przyjęcie zacnego gościa i w dniu, w którym wizyta się odbyła, wyszedł procesyonalnie naprzeciwko moskiewskiego dostojnika, ubranego po wojskowemu w paradnym mundurze.

Oprowadzał go wszędzie, po celach, ogródkach, mogiłach, w których spoczywają jego świątobliwi poprzednicy i gdzie spoczywać będzie sam, jeśli go szczęście nie wyniesie wyżéj, na krzesło czy też tron Dalai-Lamy w Tybecie, którego przynóżkiem, cieniem on tylko jest w miejscu tak świętem.

Fiedor Pawłowicz oglądał wszystko, podziwiał wszystko, okazywał największą cześć i szacunek wszystkim i wszystkiemu i wreszcie zapragnął też widzieć — przybytek samego Buddy.

Niechętnie czy chętnie Lama zgodził się na życzenie dostojnego gościa, moskiewskiego mandaryna, na którego mundurze zapewne musiało być wiele złotego szychu, a wiadomo, że złoty kolor w Chinach jest cechą czy też oznaką najwyższych godności.

Świątynia to wielka, rozległa, w guście indyjskim zbudowana, a choć buddaizm jest mniéj wystawnym, niżeli bramaizm, więcéj na rozum obliczony, niżeli na fantazyę, to jednak zawsze jeszcze nosi na sobie cechę miejsca urodzenia boga, na którego cześć ona wystawiona.

Arcydzieł sztuki w świątyniach indyjskiego stylu szukać nie należy; one są arcydziełami siły fizycznéj. To też Fjedor Pawłowicz nie widział wiele rzeczy godnych, a raczéj możliwych do zebrania. Lecz nie powiem, żeby ich wcale nie znalazł.

Były bowiem w téj świątyni nagromadzone zabytki starożytności mongolskiéj, łuki, kolczany, strzały, piki, które może kiedyś służyły do ujarzmienia Europy i długo groziły moskiewskim carom. Fjedor Pawłowicz zapragnął tych rzeczy na pamiątkę, a że one tylko jako wota pobożnych były oddane do świątyni i sam Budda ani też jego słudzy i stróże z nich nie mieli żadnego bezpośredniego użytku, Lama chętnie mu ofiarował po kilka, a nawet kilkanaście sztuk z tych starych zabytków.

Na ołtarzu jednak stał ogromny ślimak morski, ściągający na siebie uwagę widzów tak swoją wielkością, jako i pięknością. Połysk perłowéj macicy i kolory jutrzenki w tym ślimaku dziwnie dokładnie były połączone.

Prawdopodobnie skrzyły się oczy poczciwego Fjedora Pawłowicza na widok tego ślimaka; prawdopodobnie machinalnie ku niemu wyciągnął ręce, bo to natura zwykle w takich razach bierze górę nad przyuczonemi formy, a Fjedor Pawłowicz był Moskal czystéj krwi. Jakże zatém nie wyciągnąć ręki po cudzą własność?

Ależ dotknąć się tego cudowego ślimaka nie wolno żadnemu zwyczajnemu śmiertelnikowi, choćby on był moskiewskim agentem dyplomatycznym. To puhar Buddy, z którego on pije ofiarowane mu przez wiernych napoje a tylko sam Lama, jego powiernik, jest godzień nalewać te napoje i utrzymywać w czystości boski puhar. Oddać go na pamiątkę — to świętokradztwo; sama myśl — śmiertelnym grzechem.

(C. d. n.)

Wspomnienie z salonów Warszawskich

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Jednym ze znakomitszych mężów w Polsce jest niezawodnie Dr. Ferdynad Dworzaczek; jako zpotęgowana nauka i charakter wzniosły, najprawszy, najszlachetniejszy — serce wielkie i dusza piękna. Lekarz sławy powszechnéj, obywatel za wzór służący; głowa rodziny z miłością i poświęceniem, przyjaciel jakich mało, dobroczyńca z cicha, potajemnie swojege udzielający wsparcia.

Nie kreślę tu jego życiorysu, bo do tego pióro moje zbyt jest nieudolne i zastąpią mnie inni. Zresztą i nie czas jeszcze po temu! Bo dziś niepodobna obszerniej i dokładnie o jego rozpisać się życiu. Ale mówiąc o życiu towarzyskiem w Warszawie, staje się dla mnie niepodobieństwem, dom ten zacny i tę wielką osobistość pominąć, ile, że go z chlubą i błogiem uczuciem do naszych najpierwszych, najprawdziwszych przyjaciół zaliczam.

Urodził się w Szluchowie w Prusach Zachodnich roku 1804, z ojca Wacława i Józefy z Hubów, siostry dwóch wysoko postawionych urzędników. Chodził do szkoły w Złotowie Flatan, potém do ks. ks. Pijarów w Warszawie, gdzie także uczęszczał do uniwersytetu na wydział lekarski, w latach 1825 i 1826. W latach 1827, 1828 i 1829 słuchał wykładu sławnych lekarzy niemieckich w Berlinie i Lipsku, a późniéj przez lat kilka w Paryżu. Będąc w Berlinie, zaprzyjaźnił się bliżéj z Drem Karolem Libeltem i J. K. Żupańskim.

W roku 1831 pospieszył do Warszawy, by współbraciom najtroskliwszą nieść pomoc. Oddano mu lazaret poznański, a odznaczył się w nim jako lekarz i człowiek — i ogólny zjednał sobie szacunek i sławę.

W roku 1832 udał się za granicę z przyjacielem Drem Gałęzowskim do Getyngi. Późniéj słuchał wykładu sławnych lekarzy w Heidelbergu, a późniéj znowu do Paryża powrócił. Połączył się tamże ścisłym węzłem przyjaźni z Drem Karolem Marcinkowskim. I zjednał sobie ogólną a serdeczną wdzięczność, jako członek Towarzystwa na-

ukowego polskiego jako też i Pań polskich ku wspieraniu biednych i chorych rodaków.

W r. 1835 powrócił do Warszawy i tam w niéj osiadł. Kilka uczonych Towarzystw zaprosiło go do swojego grona, a biograf jego w Encyklopedyi powszechnéj wyraża się aż nadto sprawiedliwie.

Poświęcenie jego dla nauk, dla sztuki lekarskiéj, dla chorych i cierpiącéj ludzkości granic nie znało. Jako prawdziwy mędrzec na małém przestający, znajdował i znajduje całe swe szczęście w niesieniu ulgi nieszczęśliwym.

Gmina augsburgsko-ewangielicka w Warszawie, założyła pod prezydencyą Dra Malcza piękny szpital dla wszystkich wyznań chrześciańskich, zwany Ewagielickim. Dr. Malcz powierzył go serdecznemu przyjacielowi, doktorowi Dworzaczkowi — i zakład ten zbawienny w najzacniejsze dostał się ręce.

Zaziębienie nagłe, gdy zacny lekarz w nocy dążył do chorego, spowodowało chorobę oczów. Leczył się na nią przez lat kilka, z poddaniem się i cierpliwością męczeńską, ale na próżno! I w roku 1848 wzrok całkiem utracił. To wielkie nieszczęście zniósł z bezprzykładną mocą duszy i pogodą ducha.

Dr. Ferdynand Dworzaczek bywa dotąd zapraszanym do ważniejszych narad lekarskich. I jako szczególniéj uproszony, odwiedza niekiedy jeszcze i ciężko chorych, którzy jego wzywają pomocy.

W roku 1850 zamieszkał we wsi zadzierzawionéj Popala pod Łęczycą. Leczył lud z okolicy, który go nazywał: Święty ślepy doktor, i z czcią uroczystą gromadnie cisnął się do niego. Późniéj czasowo w Warszawie zamieszkał. Dziś zaś znowu mieszka w Popali.

Mąż znakomity ciągle umysłowo pracuje. Zamieszczał i zamieszcza artykuły nader ważne dla nauki w „Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego, w Tygodniku lekarskim.“ Dawniéj w „Dzwonie literackim i w Wiązance literackiéj.“ Arcypięknym, podniosłym napisane językiem, pełne wielkich i głębokich myśli, któreby zaszczyt każdéj przyniosły literaturze.

Sam pisać nie może, ale dyktował i dyktuje. Dyktuje chodząc po pokoju, a sypią się i tryskają myśli prawdziwego natchnienia.

Wyjeżdżał raz za granicę, jeszcze gdy wzrok miał zdrowy i był u nas w przed dzień wyjazdu, wieczorem na pożegnaniu. Miał wyjechać o godzinie 5 z rana, więc mąż mój nie powiedziawszy mu nic, gdy odchodził, wstał rychło i przed godz. 5 już był w jego mieszkaniu. Zastał pokoje pełne ubogich, którym człowiek-lekarz wydzielał wsparcie i recepty do apteki, gdzie na rachunek jego dawano im darmo lekarstwa.

August przesunął się nieznacznie i stanął po za drzwiami przy szafie. Bo gdyby Dworzaczek był spostrzegł świadka czynów swoich, byłby się przy żywości temperamentu swojego pogniewał pewno. Potém dopiero, gdy już rozeszli się wszyscy, niby to przybył dopiero i przywitał i pożegnał szlachetnego męża.

„Czy zastałeś jeszcze Dworzaczka?“ zapytałam go, gdy powrócił.

„A jakże!... Lecz pograłem tam w juru.“*)

„Jakto?“

I ze łzą na oku opowiedział mi podniosłą scenę, któréj był świadkim.

Przytoczę tu także jeszcze i czyn jeden, jakich wszelako było więcéj.

Dr. Dworzaczek wezwany został do chorego urzędnika w jedném z miasteczek przy kolei. Pojechał. Zastał biedaka już konającego... żonę bólem złamaną — drobną dziatwę — a jednym rzutem oka ogarnął, że tam dostatku nie było.

. Chory umarł nad ranem, a pociąg dopiero około południa odchodził.

W parę godzin po téj śmierci, Dworzaczek nagły, rozpaczliwy jęk posłyszał... i zapytał staréj sługi coby to było?

„Ot, wielmożny panie konsyliarzu“, odrzekła zapłakana, „miejscowy doktor przysłał rachunek, a gruby, i żąda niegrzecznie, by biedna pani zapłaciła mu zaraz. To téż dziw że jéj serce nie pękło.“

W Dworzaczku oburzenie zawrzało. Kazał sobie przynieść ów rachunek — niby do przejrzenia. Włożył żądaną należność w kopertę i koledze odesłał. Poczém odjechał cichaczem, a rozumie się, że o własnym koszcie.

* * *

Doktor Dworzaczek miał siostrę przy sobie, pannę Paulinę — późniejszą doktorowę Dybkową — osobę nadzwyczaj miłą, wykształconą przy takim bracie — która wdziękiem łagodności i dobroci pociągała wszystkich. I mieszkali przy nim bracia: Jan, Karol i August — którego sam osobiście, z najwyższém staraniem kształcił, że egzamen abituryencki złożyć potrafił. Zatém już i to gronko rodzinne nader przyjemne stanowiło towarzystwo. A do tego łączyli się niekiedy i wybrańcy umysłowi — zamieszkali obywatele wiejscy i t. d. i t. d.

Sam doktor Ferdynand, nadzwyczaj żywy, mówiący pięknie, znający wszystko, już wystarczył do zapełnienia i podniesienia rozmowy każdéj.

Pamiętam jeden nadzwyczaj zajmujący wieczór. Byli na nim państwo Korzeniowscy z córkami; Antoni Muczkowski, Antoni Szateński — dziś członek Senatu — i Dr. Chałubiński. Z nami przybył Gustaw Franke, teolog protestancki, o którym tutaj słów kilka powiem.

Młody ten człowiek, rodem z Dessau, skończywszy wszechnicę berlińską, podał się do gazet, jako nauczyciel. Funduszów z domu nie miał żadnych, a otrzymanie posady jeszcze w dalekiem polu. Mógł udzielać, prócz zwykłych nauk, język francuzki, angielski i muzykę — którą znał dobrze teoretycznie. Senator Pochwisneff z Petersburga, czyli Moskwy — potrzebował właśnie takiego indywiduum. Spodobała mu się dość pokaźna powierzchowność Franke'go i zrobił z nim układ: sześćset rubli rocznie i wygody wszelkie. Za dni kilkanaście mieli wyjechać — i senator zażądał, by przyszły guwerner synów zaopatrzył się

---

*) Grać w juru t. j. ukryć się, by drudzy szukali, jak to bawią się dzieci.

w garderobę odpowiednią domowi jego. Sprawił sobie zatém kilka garniturów i t. d. i t. d. — na co mu pryncypał dał pieniędzy. Franke zatém w przeciągu dni kilku, szczęśliwy, w berlińskiego przetworzył się modnisia. Poczém wyjechali.

Przybyli do Warszawy, gdzie senator miał zatrzymać się dni parę — i stanęli w hotelu Krakowskim przy ulicy Bielańskiéj.

Franke ustroił się i wyszedł na miasto. Warszawa podobała mu się bardzo. Wstąpił do Caffé français. Znalazł tamże mnóstwo dzienników, niemieckich, francuzkich, angielskich. Zabawił się wybornie. Wypił doskonałéj kawy i zjadł ciastko wyśmienite. Dnia następnego powtórzył to samo. Senatora mało w tym czasie widział, bo ten ciągle był zajęty.

Dnia trzeciego, gdy teolog znowu z przechadzki jakiéjś do hotelu powrócił, zastał pokój pana senatora pustym, i czyszczono go właśnie. Zapytał o swojego pryncypała: „Wyjechał!“ — „Dokąd?“ — „Do Petersburga.“ — Zdumiał i własnym nie dowierzał oczom. Gdy w tém nadchodzi jakiś urzędnik policyjny z wiadomością: że pan senator przekonawszy się, iż pan kandydat teologii Franke nie może być przydatnym na nauczyciela synów jego, ponieważ ma idee przewrotne i na fortepianie niedość gra dobrze — zatém zrywa z nim wszelką umowę i wyłożone pieniądze zostawia mu jako wynagrodzenie za czas który spędzili z sobą.

W biednego teologa jak gdyby piorun uderzył. Ale cóż miał począć? Jakże miał sobie poradzić? Urzędnik policyjny ukłonił się z uśmiechem ironii i wyszedł. Cóż miał począć? Gdzie szukać ratunku? W obcem mieście, w obcym kraju, wśród obcych! Nigdzie! nigdzie, niestety! Wbiegł do swojego pokoiku, drzwi zamknął za sobą, rzucił się na łóżko — i płakał jak dziecko.

Napłakawszy się serdecznie, w położeniu nieszczęsném helpless i hopeless, jak mówią Anglicy — gdy i młody ozwał się żołądek — oczy wymył, wystrychnął się w świeże suknie i poszedł do Caffé français, by ostatnie półtora złotego przehulać, a potém spuścić się na opatrzność i zrządzenie Boże.

Kawa głodnemu, bez obiadu, smakowała wybornie. Posiliwszy się zaczął uważny przegląd osób, czytających dzienniki. Niebawem mężczyzna, młody jeszcze, okrągłéj i pełnéj twarzy, zdrowéj cery, z małemi faworytami czarnemi i krótko przystrzyżonych włosach — w okularach złotych, podjął National Zeitung i czytać począł.

W to mi graj! Franke mając go na oku, zbliża się zręcznie, przysiada, podejmuje Breslauer Zeitung i wreszcie coś tam do jegomości w okularach zagadał. Ten odpowiedział mu uprzejmie piękną niemczyzną. Zawiązała się rozmowa — i opuszczony kandydat teologii, niezwłocząc całą swoją wypowiedział mu dolę, czyli raczéj niedolę.

Tym panem był Henryk Sewcatum, który pana Gustawa Franke przyprowadził wprost do nas, niewiedząc co począć z opuszczonym.

Zastali u nas kilka osób, a wszyscy porzuconego niegodnie przez Moskala, Niemca szczerem otoczyli współczuciem.

Mieszkali przy nas wtedy dwaj bratankowie Augusta, synowie zacnego Klemensa Wilkońskiego. Starszy już kończył gimnazyum. Zajmowali dwa pokoje od tyłu. Mąż mój zatém ofiarował Frankemu tymczasową gościnę i pomieścił go z bratankami.

Lewestam zaś i inni postarali się o kilka lekcyi dla niego: języka i literatury niemieckiéj.

Przez wdzięczność, przez sympatyą, a może i przez miłość nauki, pragnął Franke szczerze a gorliwie nauczyć się języka polskiego. Zaczął od wokabuł i wymowy słów których się uczył. I zabawnem było, że ciągle bez przerwy nieomal, ćwiczył się półgłośno w wymawianiu wyrazów polskich. Czynił to, idąc przez ulicę, po wschodach. A w pokoju siadał na uboczu i szeptał sobie ciągle: szczęście, szczęście i t. p.

Wielu z bywających często u nas, jak Dr. Chałubiński, Antoni Muczkowski, Radomicki, Walenty Zakrzewski, Ćwierciakiewicz, Wolski, znali dobrze język niemiecki i literaturę, miał z nimi przeto wielką przyjemność i podziwiał umiejętność Polaków.

Pragnął i piśmiennictwo polskie poznać, przynajmniéj beletrystykę — i na mnie to zadanie przypadło. Musiałam mu tłómaczyć wiele, dosłownie, a czyniłam to, o ile potrafiłam sumiennie. Unosił się nad wszystkiem, powtarzając: Köstlich! Wundervall! Reizend! I podziwiałam zaprawdę cierpliwość jego, z jaką mnie słuchał, siedząc z założonemi rękoma, nawet bez cygara, po godzin kilka. A przyznać potrzeba, że wszystko zrozumiał łatwo i spamiętał wybornie.

Marzeniem jego było przetłomaczyć Odę do młodości Mickiewicza, która nie w siódme, ale w czternaste uniosła go niebo. Był młody — i należał jeszcze do Junge Deutschland.

Musiałam mu i polskie śpiewać piosenki, które zapisywał sobie od razu umiejętnie i bez błędu.

(C. d. n.)

GRÓB KS. KONSTANTEGO ŁUBIEŃSKIEGO,

Biskupa Augustowskiego w Niżnim Nowgorodzie.

(Z ryciną.)

Za łaskawem pośrednictwem jednego z duchownych, otrzymaliśmy fotografię Grobu Biskupa Łubieńskiego w Niżnim Nowgorodzie. Pomimo usilnych starań, nie mogliśmy wynaleść źródeł, któreby posłużyć nam mogły do skreślenia życia i męczeńskiéj śmierci kapłana-obywatela.

Podzielimy się więc z czytelnikami tém, co pamięć nasza

o nim zatrzymała. Biskup Łubieński należał do znanéj rodziny w Król. Polskiém, a poświęciwszy się za młodu karyerze duchownéj, przysposabiał do niéj w Stolicy świętéj i akademii duchownéj w Petersburgu. Niepospolita zdatność i ujmujący charakter, zwróciły uwagę zwierzchności duchownéj, na ks. Łubieńskiego, tak że pomimo młodego wieku, używany był kilka razy w ważnych misyach do Rzymu. Nadszedł rok 1862 i rozruchy przedpowstańcze na całym obszarze Polski. Stolica biskupia w Sejnach od lat kilku opróżniona oczekiwała pasterza. Rząd sądząc, iż młody Łubieński wychowany w Stolicy carskiéj i wyniesiony od razu do jednéj z najwyższych godności w kraju, będzie ulegał woli rządu; wbrew opinii powszechnéj, a nawet i duchowieństwa, przedstawił go do Rzymu i potwierdzenie na biskupstwo augustowskie uzyskał. W najtrudniejszej chwili, bo w samem żarze walki 1863 r. przybył młody Biskup do Stolicy swojéj, przed któréj bramami w lesie spotkał go oddział powstańczy i prosił o błogosławieństwo. Otoczony gronem obywateli, towarzyszących mu od granic dyecezyi, wszedł młody pasterz wśród zebranych żołnierzy i podniesioną ręką błogosławił im. „W trudnem mojem powołaniu“ mówił ze łzami w oczach, „Bóg mi sprzyja, kiedy wprzód pozwolił spotkać obrońców ojczyzny i wiary, niż tych, którzy je prześladują. Błogosławię wam imieniem pasterza waszego, imieniem Boga, który słusznéj sprawie uledz nieda, imieniem Polaka, miłującego ojczyznę nad wszystko.“ I następnie rozdając w szeregu stojącym żołnierzom medaliki na pamiątkę, zalany łzami wsiadł do powozu i zniknął powstańcom z oczu. — W godzinę po tém, piszący był w towarzystwie jego na obiedzie, gdzie okoliczna szlachta witała go imieniem powiatu. Tam to wśród zaufnych, odkrył on całe skarby szlachetnéj duszy swojéj, tak że opinia nieprzyjazna mu poprzednio, od razu się zmieniła.

Wiadome są prześladowania rządu polskości i wiary; wiadome są ofiary dla nich. Biskup Łubieński jest także jedną z tych strasznych ofiar; w r. 1869 porwany nagle i wywieziony w głąb Rosyi, na granicy Syberyi w Niżim Nowgorodzie otruty został trucizną w filiżance herbaty, przez tego samego zadaną, który otruł także ks. Kalińskiego, biskupa unickiego chełmskiego. Skromny krzyż drewniany i napis, jest jedyną oznaką, że tam w poduralskich stepach spoczywa książę kościoła, miłujący nad życie wiarę i ojczyznę. Oby mu ziemia lekką była!

Szarada.

Trzeci trzeci pierwsze
czwarte,
Żem ja pierwszy trzeci,
Ha! niech sobie stary kleci!...
Zawsze to coś warte,
Żem jest gładki drugi drugi
Na panien usługi.

Panna druga wspak, wprost
pierwsza
Raz mi powiedziała,
Że do wszystkiéj tom jak strzała!
Ona widzę szczersza,
Wié, żem gładki drugi drugi
Na panien usługi.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 44: *Okulary.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Amborskiemu we Lwowie: Na życiorys G. oczekujemy niecierpliwie. Zechciéj Pan odwrotną pocztą przesłać. — Ks. W. w O.: Odebraliśmy i serdecznie za nią dziękujemy — książkę zwracamy. — Panu Kirkorowi w Krakowie: Listu nieznaleźliśmy; widocznie nie musiał być wysłany.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).